

Tak byłem wzburzony, i widocznie musiało mi się...

Ma pani rację, rzeczywiście jestem w tej chwili...

Nie panie!—zawoła z energią ów chudy mężczyzna...

Przynajmniej, że mowa ta i kościsty uścisk z jakim...

— Ktoż pan jesteś?

— Jaki? Pan nie słyszał, co mówiła moja żona?

— Dalibóg ani słowa.

— Warjat!—przerywa pani—chodźmy Konradku, ja...

— Nie lekaj się, adaje.

— Ktoż powtarzam panu kto jestem. Konrad hrabia...

— Więc coś z tego?

— To, że jeżeli w tej chwili, tu, natychmiast nie...

— Jesteśmy soigani!—dodaje skwapliwie owa dama...

— Dopiero teraz zacząłem pojmwac i przypominać...

— I owszem panie, bardzo mi będzie przyjemnie.

— Szlachetny człowieku!—przerywa mi rzucając się...

— Bardzo mi przyjemnie będzie przejść po pańskim...

— Pan myślisz że to żarty!

— Ale gdzie tam... ani wątpliwość...

— Wyрекisz te słowa, szanowny pan hrabia, zupełnie...

— Panie hrabio posłuchaj!—odzywam się kładąc...

— Trzysta rubli, przysięgam, ostatnie trzysta rubli...

— A niech je raz diabli biorą! co tam... rznij pan!

— Rewolwer podniósł się wyżej, lufa zaczyna zagłębiać...

— Stój!—zawołałem nagle chwytając go za rękę.

— Słowa moje magiczny zrobiły skutek; hrabia opuścił...

— Tak jest, mój panie, dożywocie nabył opiekun...

— Hal idę do niego!—przerywa szukając czapki...

— I to się na nic nie zda; właśnie przed kilku dniami...

— Zawiedzeni małżonkowie spojrzeli po sobie i widąc...

nie próbę, ale sam fakt samobójstwa.

— Więc coś mi pan radzisz?—zapytuje po chwili...

— Wstąpić do teatru. Posiadasz pan znakomity talent...

— Mój łaskawco—rzecze mi z drwiącą miną.—Zrobiłem...

Domyśla się czytelniczki, że po takiej profanacji...

A pan Konrad?

Ten grywa jeszcze na prowincjonalnych scenach...

— A Wilczyński.

Ofiara przesądów

(BAJKA AGRONOMICZNA.)

Na placu Ujazdowskim, w ozdobnych przegrodach...

— Ah—zabeczy żalownie—czemużem niestety...

— A to co—zakrzyczyły owce wystraszone.

— Pytają, a on swoje: *comprends pas chers amis!*

— W końcu w nogi.

— Widocznie nie go opętało!

— Od matki, siostry, kochanek, baran opuszczony...

— Łuż wśród nas jest Baziów choć o ludzkiej głowie!

Aleksander Trylski.

Przyczynek do dziejów cywilizacji.

(Z komedji p. t. „Na wsi“.)

PAN PIOTR I GRZELA.

Pan Piotr (ogorzaly, o zawieszonym wasie—przy stole...

Grzela (wbiega gębą—z półmiskiem, brudny, niezgrabny...

Pan Piotr (z oburzeniem—powstaje). Jak ty mówisz?

Grzela (odstępuje w tył—drapiąc się co chwila). No, no...

Pan Piotr (spozstrzegając oberwaną poję u fraka). Wielkie...

Pan Piotr (coraz gniewniej). Tużurek?... to tużurek!?

Grzela (spiesznie poprawiając się). Frank, frank—prose...

Grzela. Ano... ano... jasnie... prose jasnie... (śmiejąc się)...

* Tu objaśnić winienem, że podczas gdy gdzieś indziej...

Pan Piotr (hamując się). To ja nie mówię ci już mil-

Grzela. No... pocuz uciekało... jo ta psecie niehecegy...

Pan Piotr (gdzież to, proszę państwa, przedzby...

Grzela. A pocuz go bede obnosić?

Pan Piotr. Po to, abys się wprawil; abys umiał—gdy...

Grzela. Ho, ho—uni ta i bez tygo zjeś petrafia.

Pan Piotr. Abys nie sterczał, jak kotek nieokrzestany!

Grzela (pakując ręce w kieszenie—czego pan Piotr nie...

Pan Piotr (obcierając usta). Sprawilbym ja ci guńkę...

Grzela. Hoo... wielgie rzeczy... o jej — to i obniese...

Pan Piotr (z oburzeniem). No patrzcie... patrzcie pa-

Grzela. No... no to siende... o jej!... Bo to raz ciek...

Pan Piotr (z energią—siada przy stole). Pan Piotr (bie-

Grzela. Ha, jim...

Pan Piotr (powstaje pomieszany). A... juści... ze jim...

Grzela (odstępuje za stół z drugiej strony). No... no...

Pan Piotr (z kulakiem—Grzela ucieka wokolo stoła).

Grzela. Ocho... bo jo głupil... (uciekając) A to ci k-

Pan Piotr (zdyszany, na przodzie sceny, oglądając po-

Leopold Świdorski.

W Warszawie dnia 23 grudnia 1881 r.

Nekrolog.

Zaonu bolesnych szereg strat...

Urodził się—rodziców miał...

To też nie wiedzieć zkąd wziął syn...

Nadzwyczaj romantyczna.

Naturo! rządysz nami sił...

Oganna! młodzieńca klasyczny duch...

Nad Beatu ille... i Quos ego...

On trawil dnie i noce.

„Nieraz—tak jego kolega ze szkół
W swych pamiętnikach pisze—
Bywało noc całą on wszczął i wzdłuż
Za ścianą chodzi, słyszę.”

I tak go gnębi wrażeń moc,
Ze jedno wciąż powtarza:
Beatus!... wola i płacze w głos...
Czyż trzeba komentarza?

Wprawdzie na żadne on ze swych dzieł
Piętna tych studjów nie kładzie,
Lecz pewno w zbiorze pośmiertnych pism
Coś klasycznego się znajdzie.

Dzisiaj z żalem zaliczyć musimy go
Do tak zwanych Hejnistów...
Kochał... kochanym był... to wiem
Z poufnych bardzo listów.

Ta Laura... zdradziła imię jej
Chce pióro niedyskretne—
Szatynka była—ale nos
I usta miała szpetne.

Również przekonać mogą nas
Świadcstwa wiarygodne,
Że jego opisy wdzięków jej
Są z pewnością wręcz niezgodne.

O tak!—kobieta sfiaksem jest.
Raz szatan, raz niebianka—
Zwłaszcza dla słabych sere i głów
Poety i kochanka.

Długo trwał związek bratnich dusz
I trwały może dłużej,
Gdyby nie wyszła za mąż za ***
Jej posag był nie duży.

Bóg ich rozłączył w mądrości swej.
Ach! gdyby się pobrali,
Mybysmy piosnek pełnych łez
Dwóch tomów nie czytali...

Jak wyżej się rzekło—należał on
Do tak zwanych Hejnistów.
Pisał nocami... to również wiem
Z poufnych bardzo listów.

Kreślił, przekreślał każdą rzecz,
Mozolnie barw i tonu
Dla myśli szukał—widac to
Z pozostałego bruljonu.

Widac też z tego jak bardzo czcił
Formę misternie rzeźbioną;
Wypieszczal ją nadto nie bacząc na myśl.
Ten zarzut mu zawsze czyniono.

Ach! to ubóstwanie formy nam dziś
Całkiem poezję zabija!...
Zbyt pospolity gdzieś tam miał rym
Naprzykład: „zabija” i „pije”.

Dostrześliśmy również (może zbyt
Surowym sędzią jestem),
Że pisze jambem zwrótek dwie,
A trzecią anapestem.

Szkoda, że „Piosnki” tak smutne są.
Więcej duchowej pogody
Wolelibysmy widzieć w nich.
Zmarnował się autor młody...

„Gdyby był inną drogą szedł,
Stworzyłby areydzia...”
Tu znów luka w gazecie jest,
W końcu zaś szpalty: „...by wzięła”

Publiczność udział. Sprzedaż dzieł
Powinna przynieść tyle,
By można było choćby krzyż
Wzniesić na jego mogile.

Przypominamy na miejscu tem,
Że „Piosnki” (patrz ogłoszenie)
W księgarni X. do nabycia są
Po nader zniżonej cenie.”

Czesław.

NAD MORZEM.

Weź mnie do siebie, ty morska głębio,
Ty głębio cicha,
Niechaj pierś ciszą twoją gołębią
Oddycha!...
Niechaj odpoczne w tobie, jak z gniazda
Ptaszę straconą,
Jak spadająca ja niechaj gwiazda
Utone!...
Ach, tu tak cicho, jak w leśnej głuszy
I w leśnym cieniu,
Ach, tu tak błogo, jak w ludzkiej duszy
Po przebaczeniu!...
Lepiej być martwą perłą tu na dnie
Krzakami koralu,
Niżli iść krwawą ranią co padnie
I pali!...
Lepiej się cicha roztraćć falą
O zimną skałę,
Niż słyszeć, jak się duchy tu żalę,
Te blade!
Ty głębio cicha! Ach, zawyż wścickie!
I wehłōn mnie w siebie,
Niechaj zapomnę o ziemskim piekle
I ziemskim niebie,

Niech mi tej mary brzmia tylko krzyki,
Co mię musnęła
I niechaj wichur zaszumie dziki.
„Spoczęła!”

Jaskółka.

Zdania.

... W rzędzie zalet ludzkich, delikatność zajmuje to samo miejsce co drobna moneta wśród znaków wartościowych — więcej jej potrzeba w obiegu niż grubej monety...

... Niczego mniej nie znamy niż kobiety, a o niczem więcej niż o niej nie mówimy...

... Gdybyśmy z pewnych wyrażeni, właściwych temu lub owemu językowi, mieli wnosić o charakterze narodu, to wyrażenie tak utarte w naszej mowie „mój złoty” lub „moja złota” kazałoby domyślać się w polakach strasznych materjalistów...

... Możeby to było prawdą, że najlepszą kobietą jest ta, o której ludzie nie mówią, gdybyśmy zanadto lekko o nich sami nie mówili i gdybyśmy tego dyskretnego milczenia nie zachowywali tylko co do tych, o których mówić nie warto...

... Mniej rzadki jest dzień bez jednej chmurki na niebie, niż dzień bez chmurki na horyzoncie małżeńskim poźycia!...

... Kto ma podartą i poplamioną czamare, a chce chodzić w całem i czystym ubraniu, rozumniej zrobi biorąc się sam do załatania dziur i wywabiania plam, niż gdyby czekał aż mu kto sprawi nową szatę...

... Umieć wyciągnąć wszelką możliwą korzyść z każdego wypadku i każdego położenia — oto zadanie i treść polityki — zasadę tę należałoby zawsze stosować w życiu...

... Najwięcej złego o kobiecie mówią ci, co ją najczęściej kochali lub... kochają...

... Są kobiety któreby nie potrafiły kochać, gdyby zarówno nie budziła i nie podtrzymywała w nich tego co im się wydaje miłością...

... „Bóg zapłać” nieraz więcej jest warte niż dukat...

... Prawda jest podobną do chininy — wierzymy w jej skuteczność i chętnie zalecamy ją innym, ale nam samym lepiej smakuje cukierek pochlebstwa.

... Za grosz mamy bułkę, za rubla smaczny obiad, za sto rubli świetne ubranie — ale co mamy za miliony lub miljardy?...

Mefisto.

Gdyby nie ten zajac!

HUMORESKA.

Natura nie przeznaczyła mnie na pomoennika sekretarjatu rady powiatowej w B. Przeciwnie, dała mi piękną parentelę, piękny wzrost, zgrabną figurę, mordercze wąski i oczy, o których powiem tylko tyle, że nie potrafił ich zniszczyć nawet *pince-nez*, którego używałem zawsze z obawy, iż zaniepokoję zbyt wielką liczbę serc niewieścich, gdybym rzucił w ich stronę spojrzenia nie osłabione cokolwiek izolującym pośrednictwem szkielek. Nado, ta sama przezorna matka przyroda dała mi herb Suche-Komnaty, a nazwisko Podtemereczyński, dosyć długie, abym mógł spoglądać z góry na każdego Szmita lub Bauera — czego też nigdy nie zaniechałem, ilekroć mi się sposobność nadarzyła. Coraz wprawdzie rzadziej zdarza się dzisiaj spotkać ludzi umięających cenić wartość dobrego gniazda, i jestem pewny, że gdyby nas jaki demokracja podszuchał, podałby nas wszystkim do gazet; ale, między nami mówiąc, jeżeli się już kto „krótko” nazywa, to niech się nazywa Pac albo Bal, albo wcale nic. Jeżeli dodam do tego wszystkiego, że dziś jeszcze tańczę precudnie, a dzięki niezrównanej bonie, którą miałem zamłodu, mówię po francusku jak anioł, to każdy przyzna, że miałem warunki większego powodzenia w świecie niż to, którego doznałem.

Na nieszczęście los, którego na oko byłam faworytem, już od kolebki mojej nie szczędził mi także gorzkiej swojej ironji. Jakże bowiem nazwać to, że zrobił mi jedynakiem, a ojcemu mojemu jeszcze przed moim urodzeniem zabrał całą fortunę z wyjątkiem jakichś nędznych 40,000 złr., które nieboszczyk włożył oczywiście w większą dzierzawę na Podolu, jak to zdawien dawna bywało obycajczem szlacheckim, gdy nie można było na własnym majątku żyć odpowiednio do stanu i urodzenia. Dzierżawa musiała iść dość źle, bo kiedy, wraz z jej upływem, zostałem sierotą, i kiedy mój wuj i opiekun, p. Michał Sumiński, zlikwidował krescencję i inwentarz, i popłacił ciężące na tem wszystkim długi, zostało za ledwie tyle w jego rękach, że mógł mi na kilka lat oddać do przy-

zwoitego konwiktu we Lwowie, gdzie skończyłem gimnazjum.

Miałem jeszcze i cioteczno-rodzoną ciotkę, posiadającą jakiś kapitalik i bawiącą w domu pani Szezebioty-nieckiej w Podumniecach, o dwie mile od Zakłęsiowie, majątku mojego wuja. Otóż gdy mi się udało wcale dobrze przebyć wynalezioną wówczas właśnie na utrapienie młodzieży naszej maturę, powstał między wujem Michałem a ciocią Ruńcią (*i. e.* Gertrudą) spór co do dalszej mojej kariery. Wuj chciał mi wziąć do siebie i uczyć gospodarstwa. Ciotka wykazywała, że nauczy on mię chyba preferansa, maczka i *ferbla*, i że lepiej byłoby, gdybym się uczył prawa. W pojedynku na ostre słówka, brzy nastąpił, ciotka wzięła górę i zmżyła w dodatku, jakobym w liście do niej wyraził nieprzewartą chęć zostania jurystą. Wuj Michał utrzymywał później, że ta predylekcyjna cioci Ruńci do studjów prawniczych była skutkiem niewygasłej w jej sercu weneracji dla pewnego „komornika”, który kiedyś, na początku tego stulecia, jedynie dzięki jakiemuś oplakanemu nieporozumieniu ożenił się z kim innym, i jak wszyscy wówczas „komornicy” (tak nazywano dawniej w Galicji adwokatów) zrobił bardzo piękny majątek. Bądźco bądź p. Sumiński rozszedził się mocno i oświadczył, że skoro mam ochotę zostać „kauzyperdą”, to on się mnie wyrzeka i słyszeć o mnie nie chce.

Na nieszczęście, zamiast u wuja, bawiłem wówczas na wakacjach u jednego z moich kolegów; nie mogło tedy przyjść do wyjaśnienia między nami, bo wuj z zasady nigdy żadnych listów nie czytywał, a moje nierozpieczętowane rzucił, gdzie się trafiło. Tak więc otrzymałem tylko pismo od cioci Ruńci, w którym najpierw z wielką gorzą mówiła o nierodzinnem, nieludzkim i samołącznem usposobieniu tego starego kawalera, p. Michała, a następnie zachęcając mię do dalszych studjów, oświadczała się z gotowością dania mi takiej pomocy, na jaką ją stać będzie. Zamiast do niej, napisałem najpierw list do wuja z prośbą o pieniądze na drogę do Zakłęsiowie, ale z powodów wyżej przytoczonych nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, wskutek czego, jak niepyszny, zgłosiłem się do ciotki. Przysłała mi natychmiast sto złr. na pierwsze potrzeby, a odtąd nietylko co kwartału otrzymywałem od niej tę samą kwotę, ale nadto bardzo często dochodziły mię pocztą różne bardzo pożądane psyllki drobiu, zwierzyzny, pieczywa, bieleziny i t. p. tak że studjum prawa rzymskiego było mi jako tako osłodzone — nie tak, jak jednemu z moich kolegów, który zwykił być narzekać, że na nie ma się nie przyda wiadomość, iż mógłby jako małoletni mieć trojaki *peculium*: *profectitium*, *adventitium* i *castrense* *), skoro żadnego z nich niema.

W ogóle pierwsze dwa lata moich studjów uniwersyteckich przemieły dość gładko; zdałem teoretyczny egzamin państwowy, nie miałem więcej długów, niż inni w moim położeniu, na wakacje zapraszano i wożono mię do różnych domów, a wuja nie widziałem nigdy i nie słyszałem o nim nic więcej prócz tego, co ciocia Ruńcia mi napisała. W owym czasie, kiedy jeszcze nie było kolei żelaznych, z małemi wyjątkami tylko magnaci zagląдали do Lwowa; szlachta miała swoje ogniska towarzyskie na wsi, albo w miastach prowincjonalnych, jak Tarnopol albo Stanisławów — nie licząc Ułaszkiwie, Mościsk i innych miejsc jarmarcznych. Do takiej szlachty liczył się i p. Sumiński. Ciocia Ruńcia zdobyła się raz na krótką podróż do Lwowa, właśnie gdy zacząwszy trzeci rok prawa, zacząłem bywać nieuniknionym członkiem, sekretarzem, wiceprezesem albo i prezesem nieskończonej liczby komitetów balowych. Podobalem się jej niezmiernie i wprowadziła mię z dumą w różne domy, z którymi miała dawną znajomość — nie szczędząc nigdzie cichych podszeptów, że rodzę się tak a tak, że nie jestem bez „środków” i że w dodatku mam wuja, starego kawalera, który nie mając innych krewnych, a mając piękny i dobrze zagospodarowany majątek, zrobi mię kiedyś szczęśliwym swoim sukcesorem i t. d.

Tego rodzaju *pius dolus* posłużył mi wprawdzie do tego, że stałem się w pewnych kolach rodzajem lwa salonowego, a wskutek tego w komitetach nie piastowałem już nigdy niższej rangi od prezesa, ale też odtąd 400 złr. rocznie, gesi, kury, zajace, bulki, masło, ręczniki, poszewki i t. d. przestały mi wystarczać do życia, a wakacje r. 1852 przepędziłem na wsi u Stasia Bydlińskiego nietylko dla przyjemności, ile dla usunięcia się z ozi rozmaitym czarnym, szpakowatym, siwym i rudym przesiadawcom w czarnych chałatach!...

Gdy wróciłem do Lwowa, stan ten pogorszył się jeszcze. Pierwsza setka cioci Ruńci pękła do tygodnia; przypuściłem szturm o drugą i czekałem na nią przez dni 15 jak na zbawienie, ale gdy przyszła, nie wiele więcej było z niej pożytku. Zacząłem pisać listy rozpaczliwe do Podumniec, ale bez skutku — kapitalik cioci Ruńci był bowiem na schyłku. Lamenta moje sprawiły je-

*) *Peculium*, według prawa rzymskiego, to część majątku małoletniego, którą on mniej, lub więcej niezawisłe rozporządzać może, w miarę jak ona pochodzi od rodziców, od innych osób, lub z własnego zarobku, co odpowiada powyższym trzem łacińskim definicjom. (Przyp. aut.)

Parafia była duża, a parafian w Zakleśłowicach należało do najstarszych—daleko i szeroko—w całej okolicy. Piękne kręgielne i piękniejsze księżkowe rade były z mojego towarzystwa, zwłaszcza gdy alumnowo wcale jeszcze widzieć nie było, bo ferje w seminarjum zaczynały się dopiero po Nowym Roku. Bawiono się bez przymusu i bawiono się wybornie. Przy grach towarzyskich, czasem przy tańcu, a czasem i bez żadnego podobnego pretekstu, udało się chętemu a śmiało ukraść calusa i nie rozgniewać nikogo. Podobało mi się to bardzo i kto wie, gdyby nie urgensy cioci Ruńci, byłbym może wolał 23 grudnia zostać w Zakleśłowicach, niż jechać do Poduminiu. Przez zapomnienie nawet obiecałem jednej i drugiej panience na plebanji, że pojawię się tego dnia wieczorem i pomogę urządzić tańce. Ale obietnica została obietnicą i skoro nareszcie wuj Michał rozbił, czy dał sobie rozbić ostatni bank, co nastąpiło około wpół do czwartej, wybraлися się w drogę. Ustroilem się odrazu we frak, białą krawatę, lakierowane trzewiki i t. d., wzięłem klak pod pachę, czapkę na głowę, przykryłem to wszystko futrem z „sybirskich nosorożców“ i wsiałem do sanek.

— Stój!—zawołał wujaszek, gdyśmy już mieli ruszyć z miejsca.—A gdzie strzelby?

— Po co strzelby?—zapytałem.

— Prawdziwy myśliwy nigdy bez broni nie rusza się z domu!

— Ależ spóznimy się, już zmrok zapada! Droga niepewna...

— Ho, ho! Ja i mój Dubyna trafilibyśmy do piekła na każdą drogę!

Nie było rady; przyniesiono dwie dubeltówki i umieszczono po jednej z każdej strony sanek, poczem Dubyna zaczął konie. Odezwał się dzwonek u dyszla, a jednocześnie konie stanęły dęba, dały susa w bok i wierzgając wlekły między bzy i inne krzewy, rosące na podwórzu. Rozpoczęło się tarńszenie, przeklinanie, nawoływanie, które jeszcze bardziej rozsierdziło nieposłuszne szkapy i jeszcze bardziej opóźniło wyjazd. Nakoniec na wniosek Dubyny, odpięto dzwonek, którego konie znosić nie mogły i ruszyliśmy z jaru, w którym leżały Zakleśłowice, w górę przez las, ku owemu gościńcowi, o którym już mówiłem przy sposobności wyjazdu mojego z Bałabanowa. Drogi do gościńca było pół mili, która się nie liczyła, następnie gościńcem, w prawo, dwie mile, które się liczyły, a ostatecznie znowu do Poduminiu w prawo pół nieliczonej mili.

Zaledwie dojechaliśmy do gościńca i skręcili w prawo, gdy Dubyna, wskazując biczem, zawołał:

— A—wo!

— Szco tam?—krzyknął wuj.

— Zajać!

— Pilnuj! Stój! Pal!—była komenda wuja.

Nie wiem, co mi przyszło do głowy chwycić strzelbę, wyskoczyć z sanek i przykleknąć z tyłu na desce, żeby się lepiej złożyć do zajęcia, który wśród gęstego już zmroku i gęstej zamieci, z rzadką jak na zajęcia flegmą pomykał poprzód konie w podskokach, do których go głęboki a miękki śnieg zmuszał. Zaledwie zdołałem odwieść kurki, gdy wujaszek dał już ognia raz i drugi z sanek, a jednocześnie deska wysunęła mi się z pod kolan i nakryłem się, jak to mówią, nogami, wypalając z obydwu łuków w powietrze. Byłoby to pół biedy gdyby nie konie wujaszka, które ruszywszy z miejsca i przyprowadziwszy mnie o ten szwank, przerażone strzałami objechały mnie najpierw w kółko, wtłaczając mnie coraz głębiej w śnieg—poczem poleciały światłami. „Sybirskie nosorożce“ kochanego wuja ochroniły mnie od ich kopyt, ale sprawiły także, że bardzo długo nie mogłem zerwać się na nogi pod ich ciężarem.

Gdy mi się to w końcu udało, miałem jeszcze drugi ambaras z moim *pince-nez*, na który i po za który nalepiło mi się mnóstwo śniegu, podczas gdy tasiemka zaplatała się tak, że go z nosa zdjąć nie mogłem. Przewyciężyłem i tę trudność i w końcu zdołałem rozpartzyć się w sytuacji.

Była to sytuacja—bez wyjścia. Przez krótki stosunkowo czas, który upłynął przy moim szamotaniu się w śniegu, zamieć wyrównała wszystkie ślady sanek i kopyt konskich, a te, których dopatrzeć zdołałem, prowadziły na wszystkie strony, z powodu karuzelu, jaki nakoło mnie i po mnie wyprawili „ja i mój Dubyna.“ Saneł, wuja i koni nie było ani widać, ani słysać. Być może, że ekwipaż znajdował się jeszcze niedaleko, ale ponieważ na wyjeździe odpięto dzwonek, a zmrok i zawięta zasłaniały wszelką perspektywę, więc nie zostało mi, jak wołać z całej siły. Stałem tak i wołałem może pół godziny, póki nie straciłem wszelkiej nadziei i nie powziąłem postanowienia, że nie chcę nocować na gościńcu, muszę koniecznie dostać się do jakichś mieszkau ludzkich. Wiedziałem, że oddalając się w jedną lub drugą stronę od gościńca, trafię najpierw na las, albo na krzaki, potem na zbocz, potem na jar, potem na rzekę, a nad rzeką znajdę tę albo ową wioskę. Ale, wywinąwszy parę razy młynka w śniegu na gościńcu, nie mogłem wiedzieć, z której strony tam się dostałem, to jest z której leżą Zakleśłowice.

Puściłem się przez pole na los szczęścia, w lakierowa-

nych, pływających trzewikach, z kłakiem pod paszą, z sztafą na plecach, pod ciężarem „sybirskich nosorożców.“ Jak długo tak brnąłem w śniegu, ile razy odbilem w nim mój konterfekt, nie będę opowiadał—dosyć, że na końcu natrafiłem na coś, co mi się wydało zrębem w lesie, porostem tu i owdzie niskimi drzewami. Parę razy wśród mojej wędrowni słyszałem w dali coś naksztalt wycia—teraz przyszły mi na myśl zwykli tego tonu sprawcy, wilki. Ba—uszedłszy parę kroków, ujrzałem opodal najwyraźniej w świetle dwa tuż obok siebie iskrzące się przedmioty. Widziałem już raz w życiu wilka w nocy i pamiętałem dobrze, że w ten sposób błyszczą jego oczy. Machinalnie odwidłem kurki, wymierzylem jak mogłem w środek między dwa światelka i—klap! klap! przypomnieliem sobie, że moja fiata wypaliła, gdy wywracałem koźlelka z sanek.

Okrzyk zgrozy wyrwał mi się z piersi—ogładniałem się za najbliższem drzewem; ale w ciężkiem futrze, z kłakiem pod pachą i dubeltówką w ręku, niepodobna mi było wdrapać się na nie. Zrzuciłem futro, cisnąłem dubeltówkę i klak, i we fraku i białej krawatce, ze zwinnością małpy znalazłem się na bezpiecznej gałęzi. W tej samej chwili ożwało się zawzięte szczekanie pół tuzina psów, które przypadły pod moje drzewo i natrafiwszy na futro, posiadały na ziemi i zaczęły wyć przeraźliwie.

Teraz dopiero dowiedziałem się, że sybirskie nosorożce mojego wuja—były prostą wilczurą. Nie wspominałem o defekcie, jaki spotkał wilczą odzież ze strony cywilizowanych a nienawistnych *cani lupi*, kuzynów jego, należących do rodzaju *canis domesticus*. Jak błyskawica przyszła mi do głowy myśl, że gdzie są psy, tam i ludzie muszą być niedaleko, zacząłem więc krzywoć z kondlami w zawody. Naraz z tej strony, gdzie mi się przywidział wilk, pojawiło się parę światła, a wraz z niemi ujrzałem ośm czarnych postaci, w długich po ziemię szatach...

Odwolano psy, zrekonoskowano moją pozycję i zdjęto mnie z drzewa. Pokazało się, przedź niż to powiedzieć mogą, że nie byłem na dzikim drzewie, ale na gruszy; nie w lesie, ale w sadzie księdza dziekana w Zakleśłowicach i że światelka, które mnie przerażyły, nie były ślepiami wilka, ale dwoma świecami, przy których księża grali sobie preferansika, i które przez zamaznięte szyby słabo tylko migotały. Szczęście, że moja dubeltówka wypaliła godzinę przedtem, inaczej byłbym pięknych „dziesięć bez atout“ przyczynił do tej puli, zwłaszcza, gdy, jak mówiłem, pan Michał Sumiński nie nabijał strzelb inaczej, jak tylko loškami i kulą...

Zabrano mnie na plebanję, odgrzano ponczem, odrestaurowano kolacją i winem i zapomniawszy o wszystkich moich nieszczęściach, bawiłem się wybornie do białego dnia z panami i pannami. Nazajutrz, ksiądz dziekan odesłał mnie swojemi sankami do dworu, gdzie właśnie przed chwilą przybiegł był, z częścią uprząży i kawałkiem dyszla, jeden z rumaków wuja Michała. O nim, o Dubynie, o drugim koniu i o szatach, nie wiedziałano. Ekonom rozesał ludzi na rozdobedy i w końcu, pod noc, przywieziono na chłopskich sankach wujaszka—z Bałabanowa, dokąd go rumaki były zanosły, ze stłuczoną głową i zwichniętą ręką. Przywieziono także Dubynę, śmiertelnie pijanego ze zmartwienia, przyprowadzono nakoniec na trzeci dzień, t. j. pierwszy Bożego Narodzenia, drugiego konia, szczątki sanek i dubeltówkę. Cyrułik z Bałabanowa, wraz z transportem pijańki, pojawił się wśród tego sam i naprawiał błesury, które się okazały na szczęście niezbyt trudnymi do wyleczenia.

Ale tymczasem posłaniec z Poduminiu przyniósł list od cioci Ruńci, z fatalną wiadomością, że nasze nieprzybycie na umówiony termin zrobiło tam jaknajgorsze wrażenie i że Skoczypłocki, przybysz na imieniny i zastawczy płac wohny, oświadczył się i został przyjęty.

Ślub po Trzech Królach! *Adieu*, Szaranówko, Wilkowie, gotówko!

Wuj, przyszedłszy do zdrowia, uznał za stosowne wynagrodzić mi stratę, jaką poniostem z winy jego i Dubyny, obdarzając mi 100 złr. na podróż do Lwowa i obiecując dopomóc mi do dokończenia studiów, bo kapitałki cioci Ruńci wyczerpał się był do szczętu, a drugiej partji dla mnie nie miała...

Kto wie, byłbym może w istocie skończył studia, ale wuj, zamiast dotrzymać słowa, zrobił nakoniec pierwszą na serjo w życiu swoim awanturę i nietylko ożenił się z panią Ewą Szczebiotyniecką, tych samych zapust, ale nadto, przed upływem roku postarał się o to, aby ród Sumińskich nie wygasł. Z ciocią Ruńcią, jako osobą pozbawioną fundusów i pozyty, nie widziałem potrzeby utrzymywania dalszych stosunków, a gdy mnie wszystko zawiodło, nie zrobiwszy drugiego egzaminu, zmuszony byłem przyjąć hanielną posadę pisarza i mandatarjusza. Przy organizacji *becyrków* spodziewałem się zostać kancelistą, ale i to nie dopisało i musiałem kontentować się djurną, póki organizacja rad powiatowych nie obudziła we mnie nadziei polepszenia losu. Jestem tedy od r. 1867 płatnym na dniu pomocnikiem sekretarza wydziału powiatowego w B*—a wszystko przez tego zajęcia!

Jan Lam.

Z teki umarłych.

Do luminarza mojej parafji.

Nie lubię ciebie księże prałacie
Gdy z poza zwykłej wychodząc między
Zbyt uroczyście nam rozprawiacie
O niezbadanych tajemnikach wiedzy.
Lecz kiedy w cichym, wiejskim kościele
Wznosisz Sakrament w Pańskiej ofierze,
A lud się wierny pomostem ściela,
I w grzeszne piersi bije się szczerze,
Gdy w sutęj kapię, albo w ornacie,
Grzmisz „Święty Boże“, starą piosenkę—
Tak cię uwielbiam, księże prałacie,
Ze chciałbym szczerze całować rękę!
Nie lubię ciebie bazgraczu płonny,
Gdy się czepliąc obcego wzoru,
Kreśliś na płótnie rzymskie Madonny,
I bez rysunku i bez koloru;
Lecz gdy twój obraz widzę w kościele,
Choć pedzel grubym a postać krzywa,
Lecz naród przed nią na twarz się ściela,
Z piersi pobożny jęk wydobywa;
Gdy Opatrzności skreśliś nam oko
Boga—rodzicę lub Bożą mękę,
Tak ciebie kocham, tak cześć wysoko,
Ze chciałbym szczerze całować w rękę.
Nie lubię ciebie mój organisto,
Gdy przy gitarze, wśród dzievic grona,
W niedzielnym stroju, z miną rzęsiłą
Fałszywym głosem śpiewasz Filona.
Ale gdy w cichym kościółku słyszę
Jak intonujesz ku Bożej chwale,
Kiedy popsute gnuciesz klawiszem
Na *Alleluja* lub *Gerakie zale*;—
Wiernego ludu sto głosów razem,
Kiedy wturuję twoją piosenkę,
Lza wzrok mój pali jakby żelazem,
Chciałbym cię mistrzu całować w rękę.
Ornatem, pedzlem lub antyfoną,
Wiejskich kościółków pierwsze potęgi,
Wydobywajcie nutę ródzoną,
Z pod sere, z pod piersi, z pod szmat siermiegi!
Przez was się ziszcza Boże zamiary
Nie wolno tracić ni jednej chwili,—
Bo to nasz kościół, nasz kościół stary,
Gdzie się ojcowie nasi modlili.
Wam nie mędrkować, tylko po prostu
Wzywać z kanticzek *vannej jutrzrenki*,
Bóg porozdziela kwiaty od ostu,
A my was będziemy całować w rękę.

Borejkowszczyzna w dzień

Wniebowstąpienia 1859.

Wojciech Karłowicz

Do **

Osłektu, osłektu niepoczciwy!
Wiele razy zdanie twoje
Traci gdzie o pracę moje,
Zawsze jakiś punkt złośliwy
Z mokrego ci piórka spada,
I w krytyce twej, choć ona
Nie wprost do mnie wymierzona
Jak żyd na seksterne siada,
A jeżeli już niestety!
Pisziesz o mnie do gazety,
To widać lekceważenie,
Widać, czy zarozumienie
Twojej autorskiej próżności,
Czy też i szczerze wątpienie,
Ze nie ja do potomności,
Jako poeta przyszłości,
Pójde, chociaż mnie na scenie
Czasem jeszcze i tu grają,
A nawet i premia dają.
Co to znaczy, mój ty drogi!
Zkąd ta pycha w tobie wszczęta,
Ze mnie z mojej spychasz drogi,
I tak cenisz jak studenta,

Co z niedouczoną głową
 Na los szczęścia jak popadło,
 Nie patrząc w życia zwierciadło,
 Bierze do swych sztuk osnowy
 Jakieś lalki nieprawdziwe,
 Z martwą twarzą, trupim czołem,
 Lub kaleki chrome, krzywe,
 Które siedzą pod kościołem?
 A choć idzie na wyścigi
 I wygrywa czasem jeszcze,
 Nie umie jak inni wieszczę
 Związać bajki i intrygi,
 Która wy nad wszystko w świecie
 W komedji admirujecie,
 Choć to nie omega przecie?
 Wszakże ja w mem życiu całem
 Tyle już ryz zapisałem,
 Że gdyby jaki trafunek
 Na twój grzbiet krytyczny zsunął
 Ten papierowy ładunek,
 Tobys i z trójnoga runął,
 I cośby ci w piersiach jętko,
 A może i w krzyżach pękło.
 Wprawdzie to nie nie dowodzi,
 Bo dziś i pisarze młodzi,
 Niezwiązani treści przedzą,
 Choć *divinum os* nie dzwoni,
 W tej gazetowej pogoni,
 Jakby po kolejach pędzą,
 Jak lokomotywy dyszą,
 I piszą ciągle i piszą.
 Ale przecież jest różnica,
 Widna, jak jarząca świeca,
 Między obfitością starą
 Co się nie podsyca para,
 Lecz jest pędem doświadczenia;
 A tym młodzieńczym pośpiechem
 Co był zawsze i jest grzechem.
 I jeśli jej nie ocenia
 Krytyka sumiennie, zdrowo,
 Może często podwzię głową,
 I tym samym atramentem,
 Którym starych pragnie skalać,
 Może i siebie powalać
 I obryzać się ze szczeniem.
 To się zdarzyło i tobie.
 I żebyś nie myślał sobie
 Ze broniąc swej głowy zlepkę,
 Szukam do ciebie przyczepki
 I reklamę jaką robię,
 To wspomnij, że pozawezora,
 W recenzji swojej autora,
 Który otrzymał *accessit*,
 Zwykłego ci szczenka niesyt,
 Jak go tam nam wszystkim dałeś;
 „Ze on równie jako i my
 Związać treści nie umiemy“,
 Takie rzeczy popisałeś,
 Ześ nictylko mnie obwiniał,
 Ale i sądowi swemu,
 Bardzo niesprawiedliwemu,
 Niemalą krzywdę uczynił.
 A to jak? zapytasz może.
 Zaraz ja ci to wyleżę:
 Przy tej jego bohaterce,
 Której dał ze stemplem serce
 I jak rubel karbowane;
 I przy drugiej: z *Jak się dzieje*,
 Która męża swego wypcha
 W zbytów błotniste koleje,
 I potem paskudnie wzdycha,
 By mieć długi pospłacane,
 Które obie są fatalne
 Nie nasze, bo monstrualne;
 Postawiłaś z łaski swojej
 I moją także Aniele.
 Ona jednak w mojem dziele,
 Które premium otrzymało,
 W obmyślanym celu stoi,
 A ma i duszę i ciało.
 I chociaż w wady zasobna,
 Lecz do tamtych niepodobna.
 Bo jeśli znasz tryby panów,
 Tylko nad tem się zastanów,
 Jak oni te rzeczy biorą,
 Kiedy o małżeństwo idzie;
 Jak te ognie, które gorą,
 W sercach naszych, chociaż wbiedzie,
 Rachunkami pogasili
 Lub herbową swą koroną,
 Przygniatając córek łono
 I w piersiach ich zadławili.
 A choć i tam są wyjątki,
 Bo i gdzież wyjątków niema,
 Ale to są tylko szczenki
 Dawniejszego obyczaju
 W naszym przerodzonem kraju,
 A ten nowy górę trzyma.

I wieleż jest takich matek,
 Które, przynosząc dostatek,
 Lub tarczę herbową zięcia,
 Nad pokój swego dziewczęcia,
 Skarb miłości z serca córki
 Wymiatając, jakby wiórki,
 Uczą ją, że szczęścia watek
 Tam, gdzie imie lub majątek;
 Bez względu, że całe życie,
 Jeśli pójdzie za tym głosem,
 Albo płakać będzie skrycie;
 Lub gdy przykład ją ośmieli,
 I gdy znajdzie kusicieli,
 Na pozór zgodna z swym losem,
 Złamie wiarę, zgrzeszy ciałem;
 Jak to w końcu napisałem.
 Otóż w tem niebezpieczeństwie
 Jest i serce mej Anieli,
 Gada ona o małżeństwie
 Zimno, jak gadała macierz,
 Więc za panią matką pacierz.
 Chociaż córka jest szlachcica,
 Choć jest przy niej dla kontrastu,
 Niechętna zgubnemu miastu,
 Wiejska, serdeczna dziewica,
 Że chce wyjść z roli szlachcianceki,
 Że się zrodziła z hrabianki,
 Że na wyższym żyje świecie,
 Że ją dałem pod opiekę
 Ciotki, co pacierze mówi,
 A kłania się bałwanowi,
 Dlatego to, że tak rzekę,
 Trzy po trzy z początku plecie.
 Nie na oślep i nie trafem,
 Lecz rozmyślnie to zrobiłem,
 Że ją biedną postawiłem
 Między gołym ultra grafem,
 A milionem niespodzianym
 Urzędnika, co kochanym
 Nie był wcale, gdy ubogi
 Odwiedzał jej pańskie progi,
 A tylko kokietowanym.
 Więc sprowadziłem artystę
 Bez szlachectwa i bez mienia,
 Aby słodsze serca brzmienia,
 Które jeszcze było czyste,
 Dały jej znać, że i ona
 Była obalamucona;
 Że ni majątek, ni imie
 Nie dadzą szczęścia kobiecie;
 Że dopóki serce drzymie,
 Blask ten jej rostrzopie życie;
 Lecz gdy się uczucie zbudzi,
 Już jej blichtrzem swym nie złudzi,
 Tęsknych dni jej nie ozłoci,
 Tylko da upokorzenie,
 Zbrudzi myśli i zabłoci.
 Ze się to zaprędko stało,
 To dlatego, że na scenie
 Ocasu jest i miejsca mało.
 W życiu dłużejby to trwało;
 Lecz ponieważ jest konieczne,
 Będzie i tak użyteczne.
 Otóż to przez takie nitki,
 Nie szczedząc matkom nauki,
 I pannom dając przestrogi,
 Zamknąłem morał nie płytki
 W całej treści mojej sztuki,
 A wy mnie, przez wszystkie bogi
 Chcecie uczyć jakby żaka?
 Zkąd wam dzieci mądrość taka?
 Gdybym nie miał wstydu w łonie,
 W swojej wystąpić obronie,
 O młodzieńcy! o zoilki!
 Wziąłbym was na takie szpilki,
 Żebyście podnieśli lament;
 I doraźny swój atrament
 Za okno powylewali;
 A skłuci wskróś jak rzeszoto,
 Pewniebyście zaprzestali
 Bawić się krytyczną psotą,
 Ale się nie gniewam o to.
 Stary wiarus, jeszcze mogą
 Machnąć piką i uderzyć;
 Lecz nie chcę wam wlażyć w drogę,
 I dłużej się z wami mierzyć;
 A złożywszy mój ryzsztunek
 Skończę autorski frasunek.
 Lecz wprzód podam wam dłoń bratnią,
 By się rozejść z wami w zgodzie,
 I komedyjkę ostatnią
 Przeczytam wam na gospodzie,
 A ty człeku jadowity!
 Rzeczy tamtych lepiej świadom,
 O dniu, kiedy są odczyty,
 Z łaski swojej mnie zawiadom.
 Chociaż ważę sobie mało
 Recenzentów mylnie zrędy,

Jednak dbam, jak dbać przystało,
 O sąd wszystkich i ich względy.
 W tej więc przybywszy nadziei,
 Przyjmę wdzięcznie aprobacyę,
 Bo *vox populi vox Dei*
 A ogół ma zawsze rację.

J. Monzani

WIECZÓR POŚLUBNY
 STANISŁAWOWI K* NA PAMIĄTKĘ
 W PARYŻU 1872.

Złe mi, choć pędzę życie wygodne,
 Bez trosk, zabiegów i znoju,
 Chłód czuję w sobie, chociaż łagodne
 Mam ciepło w całym pokoju,
 Ah! jakie ciepło!...

I ziewam, choć mam żołądek pełny,
 A dawniej bywał skurczony,
 I drzę—choć noszę kaftanik z wełny,
 Praktyczny prezent od żony.
 Co za kaftanik!...

I nic mi nie brak, a źle mi przecie,
 Mam ciepło—a drzę o chłodzie
 I ziewam—chociaż wiosna na świecie,
 Choć pełno kwiatów w ogrodzie,
 Prześlicznych kwiatów!...

Złe mi i chłodno... Patrzę się w okno
 I czoło na szybie kładę,
 Kwiaty od rosy pachnącej mokną,
 Na niebie gwiazdy drżą blade.
 Ach! jakie gwiazdy!...

W taki sam wieczór niegdyś, przed laty,
 W taki wiosenny, pogodny,
 Z tobą, po rosie zrywałem kwiaty,
 Bez kaftanika i głodny.
 W taki sam wieczór!...

Tak samo słowik spiewał—jak śpiewa,
 Też same gwiazdy na niebie,
 Te same kwiaty, te same drzewa,
 Tylko jam inny, brak ciebie.
 Brak ciebie tylko!

Lecz co to? W oczach robi się szaro,
 Jakaś mgła wszystko powleka,
 To szyba zaszała od westehnień parą,
 To lza zabiegła powieka,
 Lza przypomniała!...

I już mi lepiej—i cieplej w łonie,
 I już nie ziewam—a marzę.
 Jak wejdzie żona—to powiem żonie,
 Żem zwykle taki w katarze,
 Że wdycham, płaczę!...

I żona zaraz da mi na poty,
 Sama zgotuje rumianek,
 Niemasz jak żona, małżeńskie cnoty,
 Precz lzy wspomnienia kochanek!
 Niemasz jak żona!...

